

Cud na kirkucie



KLEMENS JUNOSZA

Cud na kirkucie¹

Berek Guzik mówił, że uczoność to jest największy majątek, że jest skarb, w porównaniu z którym najwspanialsza fortuna znaczy tyle, co nic.

— Niech pan dobrodziej sam uważy, niech weźmie na delikatny rozum! Znasz pan zapewne naszych bogaczy? Kto ich nie zna? To są wielkie osoby! wielcy ludzie! Oto, na przykład taki Dawid Jojne, ma dom — i gdzie on ma dom? w samym rynku! ma karczmę! i gdzie ma karczmę? na samym rogu! Może pan miarkować, co to jest dom w rynku i karczma na rogu! To bogactwo! na moje sumienie, bogactwo — ale to jeszcze nie koniec. On się ożenił bogato, sześćset rubli za żonę wziął, on szczęście miał w handlu! on jedną dużą sprawę wygrał, on się dorobił na zbożu, dorobił się na drzewie — on dziś jest pan! Proszę pójść do domu i zobaczyć jego bogactwo! On samowar ma, on lichtarze ma, on ma najzylbrowe łyżki — a jego żona nosi kolczyki z brylantami, aż oczy bolą patrzeć! I co mu z tego wszystkiego?

— Jakto co? bogaty jest.

— To prawda. On pierwszy bogacz na okolicę. Jedź pan do Lubartowa, do Firleja, do Kocka, do Kamionki, za Kamionkę, do samych Łysobyk — nie znajdziesz pan takiego bogacza — ale niechno pan zajrzy jemu w głowę! ha! ha! co tam jest w jego głowie! całkiem nic. Jedno z drugim nic!

— Musi jednak coś być — kiedy się dorobił i przyszedł do majątku.

Berek się rozśmiał.

— Nie, panie, ja widzę, że pan dobrodziej nie zna się na takich interesach...

— Być może.

— Przepraszam, bez urazy godnej osoby — ja panu to wytłómaczę. Do interesu głowa wcale niepotrzebna jest.

— Więc cóż?

— Szczęście! Kto ma szczęście, temu każdy interes pójdzie jak najlepiej — a kto nie ma szczęścia, temu i dziesięć głów nie pomoże. Takie było prawo od samego początku świata, takie teraz jest i takie będzie do samego końca.

— W takim razie, niechże mi Berek wytłómaczy, do czego służy głowa?

— Ha! ha! głowa! Głowa służy do uczoności. Głowa to jest kufek, to jest tlóмок, to jest cała szafarnia! A wiesz pan, dlaczego głowa twarda jest? Dlatego, że w niej chowają się drogie rzeczy. Pomyśl pan: jeżeli człowiek na pieniądze funduje sobie tęgi kufek albo żelazną skrzynię — więc na takie bogactwo, co w głowie może być, Pan Bóg dał także dobry, mocny kuferek.

— Wytłómacz-że mi jednak, mój Berku, czem się to dzieje, że są na świecie ludzie całkiem głupi — a przecież każdy człowiek ma głowę.

— Prawda. Prawda. Ale widzi pan, głowa a głowa to jest dyferencja. Ja nie chcę mówić o wszystkich głowach, ale powiem o żydowskich. Jak się panu zdaje, czy żydek, taki zwyczajny żydek, mały bachórek, przychodzi na świat mądry czy głupi?

— Cóż za pytanie!

— Ha! pan myśli, że głupi! Ha! ha! Nie — proszę pana, on wcale nie jest głupi, bo on przed urodzeniem nie próżnował, on darmo czasu nie tracił...

— A cóż u licha robił?

¹ *Cud na kirkucie* — utwór został opublikowany w zbiorze *Z jednego strumienia: szesnście nowel przez dziesięciu autorów z przedmową Elizy Orzeszkowej*. Przedmowa autorstwa Elizy Orzeszkowej dostępna jest w bibliotece Wolne Lektury — Red.WL. [przypis edytorski]

— Uczyl się; przy nim był anioł i tłómaczył mu pismo — i tak go wyuczył wszystko, jak najlepszego rabina. Całą mądrość mu dał, pełną głowę mu nakładł.

— A dlaczego posyłacie dzieci do szkoły?

— Bo tak trzeba, tak musi być. Ja panu wytłómaczę. Człowiek jest człowiek, ma szczęście i nieszczęście. Pan Bóg daje mu dobre rzeczy — dyabeł (wiesz pan, taki paskudnik!) chce te dobre rzeczy od człowieka odebrać, chce mu wydrzeć, chce go całkiem zniszczyć. W każdym interesie lubi brzydką figiel zrobić. On starym ludziom dokucza, a dzieci! Żeby mógł, toby wszystkie (nie w złą godzinę powiedziawszy) pozjadał. To cały gałgan jest i przez niego nasze dzieci muszą do szkoły chodzić...

— Przez niego?

— Właśnie tak. Widzisz pan: taki mały żydowski chłopaczek, zanim przyjdzie na świat, to już jest mądry, uczony w piśmie, jak cały rabin. On Torę zna, on Gemoię zna, on całe pismo zna! — ale co z tego?! Zaledwie na świat przyjdzie, dyabeł czeka na niego i daje mu, na pierwsze przywitanie prztyczka w nos! Nie wierzysz pan?! to proszę zobaczyć, że każdy człowiek, w tem miejscu, gdzie mu dyabeł prztyczka dał — ma dołek.

— Ale cóż ztąd?

— Jakto co? Nie wiesz pan co? Takie dziecko to przecież delikatne jest, ono się boi. Jak zobaczy tego paskudnika, to krzyknie, a jak dostanie od niego prztyczek, to się tak zestrąszy, tak przelęknie, że wszystko co tylko umiało, czego się od anioła nauczyło — od razu zapomni! W tem cała sztuka jest! Żeby nie on, żeby nie ten gałgan, to nietrzebaby było dzieci uczyć — wszystkie od razu byłyby bardzo mądre. Pan się śmieje, pan nie wierzy, że to prawda jest. Ja wiem... państwo macie swoje zabobony. Może pan powiesz, że dyabła nie ma? Oj! żebym ja tak nieszczęścia więcej nie widział — jak ja go sam widziałem na moje własne oczy! Niewiadomo zkąd wlaźł do izby.

— A jak wyglądał?

— Niech on zginie! niech jego moje oczy nie widzą! On wyglądał całkiem jak czarny kot! Tfy! tfy! Nie śmieję się pan, bo broń Boże, może się zrobić nieszczęście!

— Ja się też nie śmieję — ale odeszliśmy od przedmiotu. Nie wytłómaczyłeś mi Berku, dlaczego — chociaż każdy człowiek ma głowę — jednak głupich ludzi nie brak na świecie.

— Nie brak?! Ha! ha! żebym ja w swoim majątku tyle groszy miał, ile głupich ludzi się zdybie — to jaby się pytał, ile cały Lublin kosztuje?

— Więc?

— Nu, więc ja byłbym bardzo bogaty. Co się tyczy mądrych i głupich, ja panu zaraz wytłómaczę. Żeby na świecie byli sami mądrzy, toby nie było głupich — a żeby byli sami głupi, toby nie było...

— Mądrych.

— Nie, toby także nie było głupich, bo każdemu głupiemu zdawałoby się, że jest mądry. Weź pan na delikatny rozum, każdy towar potrzebuje mieć swoją miarę. Ocet mierzy się kwartą, cukier ważą na funty — sukno, albo biały towar, idzie na łokcie. No — jaki pan łokieć znajdzie do zmierzenia mądrości? Właśnie głupi człowiek to jest taki łokieć! Jak pan postawisz mądrego przy głupim i każesz im, żeby obydwa gadali, to będzie miara. Przepraszam pana, niechno pan słucha jeszcze. Na świecie wszystko potrzebne jest — i różne głowy są potrzebne. Zwyczajnych trzeba dużo, wielkich nie wiele, bo wielka głowa ma pomyslenie za małe głowy. Ja panu nie powiadam o pruskich głowach, ani o żadnych zagranicznych głowach — ja mówię tylko o żydowskich. Państwo się śmieją — ale żydowskie głowy, to wszystko fajny gatunek głowy jest! Na moje sumienie! Tylko nie do każdej głowy może wleźć wielka mądrość, są niektóre trochę niezdatne...

— Ciasne?

Berek się skrzywił.

— Są i ciasne... ale od tego szkoła żeby próbować. Zaraz z maleńkości widać już czy głowa zdatna czy nie zdatna. Jak która zdatna, to szczęście, to takie szczęście, że dziesięć majątków mu nie wyrówna.

— Przepraszam za niedyskretne pytanie — ale powiedz mi Berku, co ty myślisz o twojej własnej głowie?

Zawahał się żyd.

— Co ja myślę? — rzekł po chwili — co ja myślę? Co mam myśleć? ja nic nie myślę.

— Ale przecież...

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć... ja jestem z mojej głowy kontent. (Niech ona zdrowa będzie!). Mnie ją Pan Bóg dał, a ja — dodał z dumą — nie żałowałem kosztu...

— Jakto?

— Ja pakowałem w tę głowę, co tylko wlało i jeszcze w nią kładę. Ja ciągle czytam, jak tylko czas mam to czytam, jak przyjdzie szabas czytam, jak pójdę do szkoły, to także czytam, albo słucham, co mądre ludzie gadają.

— Może dlatego właśnie nie masz do interesów szczęścia?

— Prawdę pan powiedział — ja nie mam szczęścia! Nie jestem bogaty, trochę nawet biedny jestem — ale za to mam swój honor. Mnie ludzie znają.

— Być może, ale robota nie tego ci idzie.

— Co ja mam na to poradzić! Komu teraz idzie robota? kto ma kawałek chleba? Temu lat dziesięć, może piętnaście... tak! piętnaście lat temu, to ja powiedziałem, że nasze miasto całkiem zbiednieje, że wszystkie nasze żydy będą mieli gorzkie życie... Kto nie wiedział, co w mojej głowie jest, ten się śmiał i nie chciał wiary dać — ale byli tacy, co wierzyli, i niech się pan spyta, czy się wszystko nie sprawdziło? Całkiem się sprawdziło... a kto powiedział, że tak będzie? ja powiedziałem, bo dziękować Bogu głowę mam! Teraz wszyscy wiedzą, że nasze miasto upadło, że zarobku nie ma, że handlu nie ma! Teraz widzą, ale kto piętnaście lat temu widział? Jeden Berek!

— Skądżeś mogłeś wiedzieć, co się stanie w przyszłości.

— Skąd? Były takie znaki. Chce pan posłuchać — to powiem. Temu będzie piętnaście lat, akurat w nasze święta jesienne, ja sobie szedłem ze szkoły. Ja się tam trochę zasiedziałem i już było późno, jakem wracał. Było późno, ale nie było ciemno; owszem widno było, bo miesiąc świecił. Ja sobie trochę śpiewałem. Dlaczego ja nie miałem śpiewać? przecie święto? Tymczasem koło mnie coś przeleciało! Ja się zląkłem. Ktoby się nie zląkł w nocy? miasto całkiem puste, na ulicy nikt nie idzie. Ja się zląkłem! Obejrzałem się — nie ma nic; spojrzałem do góry... Aj waj! myślałem, że już mój koniec przyszedł. Znasz pan dom Gdali furmana?

— Znam.

— No to ja zobaczyłem (niech moje wrogi to zobaczą), ja zobaczyłem, że on siedzi na Gdali domu, na dachu!

— Co za on?

— Nu — on! Nie potrzebuję dużo powiadać: czarny kot! Cały czarny, a oczy to się jemu paliły jak świeczki. Ja chciałem krzyknąć gwałtu — ale nie mogłem. Mój język zrobił się, jak drewniany kolek, moje gardło było ściśnięte, moje zęby tłukły się, jak grosze w puszcze. Ja nie miałem siły stać — ja siadłem; ja nie miałem siły siedzieć — ja przewróciłem się całkiem, ja leżałem...

— A kot?

— On sobie poszedł! Gdzie on poszedł, to ja nie chcę wiedzieć! Po co ja mam wiedzieć, gdzie taki paskudnik chodzi? Ja zobaczyłem, że jego już niema i wstałem. Na drugi dzień poszedłem między naszą starszyzną, i powiedziałem, że będzie nieszczęście. Radziłem, żeby zobaczyć, czy się gdzie przykazanie nie popsulo (wiesz pan, takie przykazanie w blaszanej rurce, co musi być na każdej futrynie przybite); radziłem żeby pilnować, czy która żydówka nie przypawiła sobie fałszywych włosów? (myślisz pan, że między naszymi żydówkami nie znajdują się takie gałganice?); radziłem, żeby uważać czy Gdala furman robi wszystko co w piśmie przykazane? Bo dlaczego kot nie siedział na innym dachu, tylko na jego dachu? Prosiłem, mówiłem, że będzie nieszczęście, że całe miasto zginie. Nie słuchali. Powiedzieli: co Berek znaczy! Berek nic nie znaczy!

— No?

— Nu, i tak przeszło. Tymczasem pokazał się drugi znak.

— Znowuż kot.

— Nie... dlaczego kot? Kto jemu zabroni zrobić się kozłem!? Oj, nieszczęście moje! To także było wieczór, nawet późno już było, całkiem późno. Miesiąc także świecił. Wolałbym, żeby nie świecił, bo możebym nie był widział tego, co widziałem. Ja szedłem od burmistrza. Zawołał mnie, jak zwyczajnie, kazał sobie zrobić piękną kamizelkę. Wziąłem miarę, pogadałem z burmistrzem i wracam. Musiałem wracać do domu. Tymczasem

znowuż koło Gdali domu zobaczyłem! Niech on zginie! Stał z rogami, z brodą i całkiem czarny, jak smoła...

— Kto stał?

— Pan się pyta! Wiadomo, kto stał. Czarny kozioł!

— Wielka rzecz!

— Właśnie, że wielka rzecz. W całym mieście był tylko jeden kozioł i to całkiem biały — więc zkąd się czarny wziął? Nie, proszę pana, to nie był zwyczajny kozioł — ale był znak, że w mieście nieszczęście się stanie...

— Znak?

— Pewnie, że znak. Ja znów narobiłem gwałtu. Znów chodziłem do naszej starszyny. Ale co ta nasza starszyna warta! Oni tak dbają o miasto, jak i o ten piasek, co na gościńcu leży. Aby sami mieli pieniądze, to dla nich dość. Ja mówiłem, prosiłem, płakałem nawet!

— A oni?

— Oni śmieli się! Oni powiedzieli, że ten kozioł to był kozioł; że spał w takim miejscu, na które sadze wysypują i przez to zrobił się czarny. Ja wiedziałem, że to nieprawda, ale co miałem robić? Czekałem trzeciego znaku.

— I był?

— A jakże. Nie wyszło dwa miesiące i już był.

— Jakież?

— Był całkiem pfe! Ja panu nie powiem o tem dużo i nie powiem mało, powiem jedno słowo: Gdala furmana córka uciekła!

— To znak?

— To był bardzo brzydki znak... taka dziewczynka! Zaręczona już była. Pfe! a z kim ona uciekła? Ze stolarza Dzieciółkowskiego synem... z katolikiem! i ożeniła się z nim. Pfe! Zrobił się wtedy gwałt. Starszyna się zawstydzila — a ja mówiłem: a co? Oni powiedzieli: — nieszczęście! Berek miał rację, już jest nieszczęście! Ja powiedziałem: — Nie! to jest tylko pfe! ale nie nieszczęście, to znak, to trzeci znak! Bo proszę pana, przed każdym nieszczęściem, to jak na licytacyi, do trzech razy jest krzyk, a po trzecim przybicie. Proszę pana, nie wyszło od tego czasu dwa miesiące — i zaraz się zaczęło...

— Co się zaczęło?

— Nieszczęście! Przyjechali geometry, inżyniery, zaczęli mierzyć... krótko mówiąc, za dwa lata już była kolej żelazna.

— Alboż to nieszczęście?

Berek uśmiechnął się ironicznie.

— Proszę pana — to właśnie jest cała zguba, od tego miasto upadło, a my wszyscy skapcianieli. Teraz weź pan na delikatny rozum. Ja nie chcę sądzić Gdali furmana, ale mnie się zdaje, że on musiał dużo grzeszyć. Na jego domu pokazał się czarny kot, koło jego domu stał czarny kozioł, z jego domu uciekła dziewczyna — i patrz pan, kto najpierwszy skapcianieli? kogo najpierw kolej zgubiła? — Gdala furmana! Kogo zaraz za nim zgubiła — drugich furmanów. Ja się też tak spodziewałem; bo proszę pana, furmany to grube ludzie są; oni ciągle w drodze — a gdzie najłatwiej można zgrzeszyć? — w drodze! Skapcianieli furmany, skapcianieli kupcy, krawcy i szewcy... wszyscy skapcianieli. Jeden tylko Dawid-Jojna bogacz jest, ale co nam z tego? Źle jest na świecie, bardzo jest źle, przez to, że ludzie bardzo dużo niedobrych rzeczy robią... a czarny kot ciągle pilnuje, żeby im zrobić zgubę.

To rzekłszy, Berek zwiesił głowę i zamyślił się.

Było to na gościńcu prowadzącym do Lublina. Berek przysiadł się na mój wózek, ponieważ Berek wogóle miał taki system podróżowania. Jak mu wypadło puścić się w drogę, to nie kłopotał się wcale o furmankę — wychodził pieszo za miasto i szedł, czekając, czy nie będzie mógł przysiąść się do kogo. Jest to system taki dobry jak inne, a przytem niekosztowny. Zresztą, względnie do swojej sytuacji majątkowej, myślący ten człowiek nie mógł podróżować ani własnym ekwipażem, ani ekstrapocztą; furmanów żydowskich, jako ludzi grubych i nieuczonych, nie lubił i wszelkich z nimi stosunków unikał. Wolał jeździć na przysiadanego. Przytem, jadąc na cudzym wózku, czuł się w obowiązku uprzyjemnić właścicielowi konia podróż miłą i pouczającą rozmową. Pod tym względem był niezmordowany, mógł mówić kilka godzin z rzędu, bez wytchnienia...

Wybór przedmiotu do rozmowy także mu był obojętny. Chętnie mówił o polityce, o handlu, o różnych ploteczkach z okolicy, o panu burmistrzu i o sekretarzu, o czym kto chciał. Najbardziej wszakże przypadła mu do gustu rozmowa o takich przedmiotach, które nastroczały mu sposobność do popisania się głęboką uczonością. Wtedy olśniewał słuchacza głębią erudycji.

A jaka to była erudycja! Istny groch z kapustą, prawdziwy bigos! Legendy, podania, przepisy wyznaniowe, imiona proroków dawnych, uczonych i rabinów współczesnych, przesady, zabobony, gusła najszczególniejsze — wszystko było w tej głowie. Berek zaś nosił ją wysoko, z dumą, że takie skarby w niej posiada. Nie miał szczęścia do handlu, nie miał majątku, ale uczoność miał i honory.

Pytałem go, jakie mianowicie honory?

Uśmiechnął się i brodę pogładził.

— Pan się na tem nie zna — mówił — do tego trzeba mieć inszą głowę.

Wytłómaczyłem mu, że nie mogąc swej głowy na inną zamienić, postaram się natężyć wszystkie siły umysłu, aby zrozumieć, chociaż w części, znaczenie tych splendorów, jakie na Berka spływają.

— Niech pan nie myśli — mówił — że ja chodzę do tej wielkiej szkoły, gdzie dużo żydów się zbiera. Nie, na co mi to? Tam chodzą more-morejne i wszystkie z wielkiem fanaberyem — ja między nimi byłbym ostatni. A na co ja mam być ostatni? My mamy krawiecką bóżniczkę — tam jestem pierwszy! Do mnie schodzą się przyjaciele w szabas, albo w święto, my sobie śpiewamy. Ja jestem znawca na koszerne wino — ja byłem dwa razy w Biału u rabina — ja znam różne sposoby na dyabła... No, czy to jeszcze mało honoru! A prócz tego, to ja ciągle czytam.

— I naturalnie, Berek rozumie wszystko, co czyta?

— Ha! ha! co pan dobrodziej powiada! Kto może rozumieć wszystko, co w książkach jest? Mało kto. Chyba wielkie rabiny, którzy mają taki sposób od Pana Boga, ale prosty człowiek — dobrze, że choć czyta.

— Cóż za przyjemność w czytaniu, jeżeli się nie rozumie tego, co napisane?

— Aj, aj! Jakie to między państwem są zabobony! Ja nie umiem panu opowiedzieć dobrze, jaki jest w tem czytaniu smak — ale to jest wielki smak! Wierz mi pan, ja czytałem wczoraj i jeszcze mam pełną gębę tego smaku!

— A o czemże Berek czytał?

— Jakto o czem? O czem można czytać w nabożnej książce? O nabożnych rzeczach!

— Ale przecież. Czy Berek czytał o jakim proroku, czy o historii dawnej?

— Na co mam panu to opowiadać? Ja czytałem — niech będzie dość na tem, że ja czytałem...

— Więc nie powiesz?

— Ny, co ja mam powiedzieć? Nie każda rzecz da się opowiedzieć, nie każda się da powtórzyć i nie z każdym człowiekiem pasuje o takim interesie mówić. Państwo trzymają się swojego zakonu, my żydy swojego. Na co jeden drugiemu ma zaglądać do głowy?

— No, mój Berku, bardzo się zapędziłeś. Przecież u nas nawet małe dzieci uczą się starego zakonu. O stworzeniu świata, o Locie, o Egipcie, o patryarchach, królach żydowskich i prorokach...

— Ja wiem, ja słucham o tem, ale z przeproszeniem pana, to nie jest żydowska nauka, i zawsze w niej jakiś feler musi być.

— Najmniejszego.

— Co o tem gadać... niech każdy swoje trzyma.

— Przecież u nas nie uczą, że Goliat zabił Dawida, ale na odwrót.

— Pan zna tę historię?

— Powiadam ci, że nawet małe dzieci ją znają.

— Aj, aj... to była kimedyja! Powiadają, że żydy nie są odważne — no, a kto zabił tego grubiana? Kto jemu głowę urznął? Niechby się kto inny poszedł z nim próbować! Ja to wszystko wiem, dobrze wiem, tak jakbym sam przy tem był!

To rzekłszy, Berek pogładził się po brodzie i oczy mu błysnęły radością, że mógł się erudycją swoją popisać.

Koń zwolnił biegu, bo droga szła pod górę, turkot kół nie przeszkadzał rozmowie.

— A pan wie jak to naprawdę było? — zapytał Berek — pan wie, jak się ta cała historia zrobiła? Pewnie pan nie wie, ale ja panu opowiem. Ja wiem, że pan lubi słuchać o żydowskich interesach, ja to wiem...

— Owszem, bardzo lubię.

— Pewnie pan wie i to, że żydy dawno nie byli takie biedne kapcany, jak dzisiaj, ale mieli żydowskiego króla, mieli żydowskie urzędniki, żydowskie wojsko... a jakie wojsko! ha! ha! Same gwardye, z pikiem, z pałaszem, z bębniem, z armatem, jak potrzebuje być wielkie wojsko! Byli jednoręcy i zwyczajne proste żołdacy, jak się należy. Oni wojowali. Oni ciągle wojowali, a najbardziej z Filistyanem. Bardzo paskudny naród był te filistyany, a między nimi zdybał się jeden bardzo wielki, bardzo mocny, poprostu cham, parobek nieuczony, grubian!

— Goliat!

— To cały rozbójnik był. On ciągle chodził koło naszego wojska i szukał zaczepki, nawet pewnie trochę pijany był i lubił zrobić awanturę, ale nasz król nie kazał z nim robić żadnej awantury, bo król żałował wojska psuć — a taki cham mógł któremu wojakowi rękę złamać. On wymyślał, on krzyczał, on zrobił zaczepkę — ale nasze siedzieli sobie cicho, nie zważali. Nareszcie zdybał się jeden młodzik — może miał całkiem szesnaście lat, nawet nie zaręczony jeszcze — i myśli pan, że jaka osoba! Prosty pastuszek, taki co kozy pasł. On powiedział: puście mnie do tego grubiana! ja jemu pokażę sztukę! Wojaki śmieli się — aj waj! powiadali, chyba ty śmierci szukasz, Dawidku! A on taki zawzięty był, że zaraz chciał lecieć... ale bez pozwolenstwa od króla jemu nie dali. Trzeba było do króla iść.

— I poszedł?

— Co pan mówi? U nas, jak się do burmistrza idzie, to też zaraz nie wpuszczą, tylko trzeba czekać — a tu do króla! I kto chciał z królem gadać? prosty pastuch! To akuratnie osoba do gadania z królem! Ale ten mały Dawidek (kto wtenczas mógł wiedzieć, że to będzie kiedyś wielki Dawid?) prosił jednego żydka, takiego poprostu faktora, żeby on królowi powiedział o tym interesie. Faktor — jak wiadomo faktor — to wszędzie wlezie. On nie szedł na pokoje, tylko wlaź tyłem, przez kuchnię — no, dość że zobaczył króla i powiedział. Król, jak to usłyszał, za głowę się złapał. — Ja nie chcę! powiedział, ja nie chcę oddać takie dziecko na śmierć, na zgubę — ja nie potrzebuję nawet o tem słuchać! Faktor przeczekał, aż się król wysapil od złości i zaczął znowu perswadować. Powiada, tak i tak, dzieciak młody jest, ale kiedy się podejmuje, to dlaczego nie ma spróbować? Przecież nikt nie przymusza go, on idzie ze swojej własnej woli. A zresztą, co wielmożny król do tego interesu doloży?

— Tak powiedział?

— Oj, oj — ja wiem, ja wiem, tak jakbym sam przy tem był. Proszę pana, czego faktor nie przetłómaczy? on wszystko przetłómaczy, on do tego jest. Dość, że król się zgodził. Ny — powiada, niech on idzie. Kazał jemu dać pałaszów, pików, wszystkiego, co do wojowania trzeba, ale pastuszek nie chciał. Na co, powiada, ja mam dźwigać taki ciężar — ja mam na niego lepszy sposób. On wziął kamień, porządny kawałek kamień, zaczął się na tego grubiana i jak na niego rzucił! Aj waj! ten cały cham, ten ordynarny chłop, jak długi był, tak się przewrócił! Wtenczas ten mały Dawidek wyskoczył z za drzewa, siadł grubianowi na plecy i zaczął krzyczeć: gwałt! Zaraz przylecieli wojaki, starszyzna, jednoręcy żydowskie, urznęli Goliatowi wielki łeb i zanieśli do króla. Było krzyk, gwałt, muzykanty grali jak na wielkiem weselu, a ten Dawidek, ten małeńki Dawidek, ten pastuszek, później sam królem został. Tak jemu Pan Bóg dał. Aj było, było na świecie smak! honor był, wojsko było! Dziś co jest? dziś żydy grzeszne są przeciwko Pana Boga — to mają za to sam cymes. Oj mają! czarnego kota — i żelazną kolej. Niech moje wrogi to w sukcesyi dostaną! Źle teraz jest, całkiem źle jest i żeby nie to, że między wszystkimi żydami zdybuje się zawsze trzydzieści i sześć sprawiedliwych, co zakon trzymają i modlą się — to ja nie wiem, coby z nami było.

— Dlaczegoż tylko trzydziestu sześciu?

— Albo ja wiem, tak być musi — tak od pana Boga jest.

— A gdzie oni są ci sprawiedliwi?

— Tego, proszę pana, nikt nie może wiedzieć — dość na tem, że oni są...

— Eh, mój Berku, pleciesz, sam nie wiesz co.

— Ja plotę! ha... niech tak będzie, że ja plotę — a ja swoje wiem. Pan myśli, że na świecie są tylko te rabiny, co ich ludzie znają? Są i takie, których nikt nie zna, a które, można powiedzieć, utrzymują świat. Czy ja wiem, w jakich osobach ich dusze siedzą? Czy ja wiem? Czasem zdaje się, że to idzie biedny woziwoda i komu się może zdawać, że to jest naprawdę woziwoda, a to właśnie może być człowiek mądrzejszy, niż rabin i nabożniejszy, niż sam rabin! W Boskiem ręku wszystko jest i takie rzeczy — takie interesa, co człowiek nawet pomyśleć nie potrafi, także się dzieją na świecie. Pan myśli, że może Eljasz prorok nie był przeszłego roku na jarmarku w Lubartowie? Na moje sumienie był!

— Ale!

— Pan nie wierzy! Dalibóg mnie dziwno. Przecież i małe dzieci wiedzą, że Eljasz prorok ciągle chodzi po świecie.

— Poco?

— Już on wie, poco on chodzi! Pan myśli, że mało biednych żydów on żywi. On wielki miłosiernik jest, on sam wyszukuje różnych kapcanów, biedaków i on im pomaga. Wielki miłosiernik jest. Pan nie wierzy?

— Skoro Berek powiada...

— Ja powiadam, ja wiem, co ja powiadam.

— Berek wierzysz w cuda?

— Co nie mam wierzyć, albo mało cudów było na świecie? Mojżesz, przecież pan wie co robił Mojżesz?

— Wiem... ale teraz?

— I teraz także się praktykuje. Mógłbym panu dużo powiedzieć, ale lepiej nie gadać — bo na co gadać, jak kto wiary nie daje...

— Przecież słucham.

— Aj panie dobrodzieju! Cudów jest moc, codzień to się może zrobić cud i dużo się robi, choć my o tem nie wiemy, bo kto wszystko może wiedzieć? I to już jest cud, że Pan Bóg życie daje biednym ludziom, i to cud, że słońce koło ziemi chodzi... co pan chcesz, to wszystko jest cud!

Berek umilkł.

Byliśmy już blisko Lublina. Wieże kilkunastu kościołów rysowały się na niebie. Bramy, Krakowską i Jezuicką, można było wyraźnie rozróżnić. Miasto, rozrzucone na wzgórzach, wygląda bardzo malowniczo, a dokoła krajobraz piękny, szeroki. Srebrna wstęga Bystrzycy wije się wśród łąk, a gdzie rzucić okiem widać wioseczki białe, czyste, tulące się pod wzgórzami, lub też rozsiane po wzgórzach.

Na drogach, do miasta prowadzących, ruch ciągły, turkoczą powozy, bryczki i wózki chłopskie. Lud dorodny, w burch sukmanach z samodziału, suto wyszywanych czerwonymi lub niebieskimi sznurkami, zdradza dobrobyt i względną zamożność nawet.

Wysokie wieże miasta rysują się zdaleka, imponująco wyglądają mury stare, stare, bo już od wielu wieków stoją i dzielnie bronią się niszczącym zębom czasu.

Od tej strony zwłaszcza, z której przybywaliśmy z Berkiem, wjazd do Lublina bardzo jest ładny. Po prawej ręce, na wyniosłym wzgórzu wznosi się piękny kościół, niegdyś Augustyanów, z zabudowaniami klasztornymi — po lewej liczne domki, drewniane przeważnie, stare i zniszczone. Niektóre z nich niby jaskółcze gniazda przypiętowane na wzgórzach, inne rozrzucone dokoła wielkiego placu, przypominającego rynki takich sławnych miast, jak Firlej, Łysobyki lub Kamionka.

Jest to przedmieście, Kalinowszczyznę zwane, zamieszkałe przeważnie przez najbiedniejszą ludność żydowską, a w części przez biedniejszych rzemieślników i wyrobników.

Dalej droga skręca w głęboki parów i oczom podróżnego odsłania nowe widoki.

Starożytny kirkut żydowski na wysokiej, stromo ściętej z jednego boku, górze — pełen drzew starych i nagrobków kamiennych przeważnie, postawionych obyczajem wschodnim, prostopadle.

U stóp stromej góry, przy kirkucie samym, ruiny starożytnego kościoła Franciszkanów, dziś fabryka mydła; dalej kopia dawnej cerkiewki Bazyliiańskiej, a dalej już zgiętkliwa, żydowska część miasta.

Ów kirkut starodawny, na górze Grodzisko zwanej, jak historia miasta świadczy, sięga roku 1554, ale to jest data aktu nadania. W rzeczywistości istnieć on już dawniej musiał, bo nie masz śladu, żeby żydzi lubelscy gdzieindziej jeszcze cmentarz swój mieli, a przecież mieszkali w Lublinie od wieków.

Ruiny kościoła, w których teraz mydlarnia się mieści, nie mają tak dawnej historii. Wprawdzie Franciszkanie siedzieli na tem miejscu w r. 1619, ale mieli tylko kapliczkę drewnianą, a gmach klasztorny dopiero w r. 1700 został wzniesiony. W r. 1826 Franciszkanie opuścili swoją siedzibę, a gmach przeszedł na własność prywatną.

Niejeden przejeżdżający tamtędy zastanawia się dlaczego góra od strony kościoła tak stromo jest ścięta, czy do tego przyczyniła się ręka ludzka, czy też stało się to przez jakiś dziwny kaprys natury?

— Patrz Berku — rzekłem — jak to dziwnie wygląda.

— Co dziwne? — zapytał — co tu jest dziwne?

— Naprzód to sąsiedztwo szczególne, kościół tuż przy żydowskim cmentarzu...

— No, to jest miasto, proszę pana — odrzekł — to i dawniej było miasto, a w mieście, jak zwyczajnie, gdzie kto ma plac, to sobie buduje. Żydy mieli kawałek placu, zrobili sobie kirkut — księża mieli kawałek placu, zrobili sobie kościół! Co się dziwować? — każdy potrzebuje podług swojego zakonu. Ten kirkut to już bardzo stary jest.

— Trzysta lat ma z górą.

— Kto to panu powiedział, niech zwróci pieniądze! Kto te lata rachował, kto pamiętać może takie dawne rzeczy?

— W książkach jest.

— Aj, co to znaczy! niby to każda książka prawdę powiada? Książki też pewnie powiadają, że i ta góra dawno była i ten plac, na którym kościół stał, także dawno był!

— A tak.

— Ha! ha! to oni dużo powiadają! oni dużo wiedzą! Oni wiedzą tyle, co nic, albo i całkiem nic.

— Ale przecież to, co jest w książkach historycznych, opiera się na dokumentach.

— Niech moje wrogi takie oparcie w plecach mają, jak to prawda! Książki piszą, że była tu góra i był dół, a ja panu powiadam, że tu ani góra nie była, ani dół także nie był.

— Więc cóż było?

— Pytaj się pan książki — rzekł ironicznie Berek — kiedy książki takie mądre są, to niech powiedzą, co było?

Nie mogłem z niego więcej wydobyć, tem bardziej, że już wjeżdżaliśmy do miasta i towarzysz mojej podróży miał wielką ochotę zeskoczyć z wózka i wpaść odrazu w miasto, do którego różne interesa go sprowadzały.

— Kiedy pan dobrodziej wraca? — zapytał.

— Jutro, o samym zachodzie słońca.

— Ny — to ja jutro o samym zachodzie słońca będę sobie stał przy starym kirkucie. Pan mnie znów podwiezie kawałek?

— Zobaczymy.

— Aj waj, pan podwiezie — ja jestem już podupadły całkiem na nogi i, jak tylko prędko idę, to zaraz mnie koło serca pika! Niech Bóg broni, jak pika!

— Dobrze więc, podwożę cię, dokąd zechcesz, ale musisz mi powiedzieć o tej górze, o tem, co było wtenczas, kiedy jej nie było.

— Nu — dalibóg, pan zawsze ciekawy! dlaczego pan taki ciekawy jest?

— Chciałbym wiedzieć.

— Ny, ny, do widzenia panu — rzekł, zeskakując z wózka i zniknął w bramie kamienicy, obok której przejeżdżaliśmy.

Nazajutrz opuszczałem Lublin. Zachodzące słońce złościło wysmukłe wieżyce, odbijało się w szybach, starym murom nadawało czerwona barwę.

Koło dawnego kirkuta oczekiwał Berek z tłómczkiem pod pachą.

— Dobry wieczór, dobry wieczór pana dobrodzieja! — wołał. — Widzi pan, jaki ja jestem słowny! Ha! znajdz pan drugiego człowieka, żeby był taki punktualny, jak Berek! Powiedział pan: zachód słońca! Patrz pan, teraz akuratnie jest zachód słońca, a Berek stoi pink! jak na zegarku. Ny — ja myślę, że mnie pan kawałek podwiezie. Dlaczego pan by mnie nie podwiózł? Przecież nic złego nie zrobiłem.

— A jakże będzie z górą?

— Ja myślałem, że pan już zapomniał, na moje sumienie! Góra jest góra! niech ona sobie stoi, bo ona jest góra, a my jedźmy, bo na to jesteśmy ludzie. Góra nie może jechać, nam nie pasuje stoic. Patrz pan, nawet kuń to rozumie, on już rucha nogami, już pokazuje, że czas jechać. Mądry kuń, dalibóg!

Mówiąc to, Berek wgramolił się na wózek. Ruszyliśmy.

Na starym kirkucie szumiały drzewa, minęliśmy je niebawem, minęliśmy przedmieście i most na Bystrzycy i ogromne karczisko murowane przy drodze — a słońce zaszło już zupełnie, zaś z łąk podnosiły się fantastyczne mgły i rozwiewały się w kształty dziwne, nieokreślone, zmieniające się ciągle.

Gwiazdy zaczęły się ukazywać na niebie, złociste, mrugające figlarnie — wiatr przynosił z łąk zapach świeżo skoszonego siana.

— Jakże, Berku — spytałem — powiadasz, że kirkut ma więcej, niż trzysta lat?

— Ha! ha! i wiele więcej!

— Naprzykład?

— Ja nie wiem, ale on bardzo stary jest. On taki stary jak i sam Lublin, może nawet jeszcze starszy. Czy pan tam kiedy był?

— Nie.

— To pan nie widział jakie tam stare kamienie są?

— A Berek widział?

— I ja nie widziałem — ale ludzie gadają. Ludzie gadają, że tam już wszystkie pismo, co było na kamieniach wykute, wiatr wydmuchał i woda wymyła! Pomyśl pan sam, wiele to trzeba było wiatru i wiele wody, żeby wytrzeć z kamienia pismo — a jakie pismo? Co wykute jest! Każda literka przynajmniej na pół cala głęboko. Powiadają, że niektóre kamienie już tak w ziemię powłaziły, że mało ich co znać. Weź pan na delikatny rozum, wiele trzeba czasu, żeby sam kamień w ziemię włożył i żeby się w niej schował — to nie bagatela jest!

— Na tym kirkucie zapewne wielu sławnych i uczonych żydów spoczywa?

— Aj! sławnych, uczonych, nabożnych rabinów, wielkich bogaczów moc! Cały kahał ich tam jest. Aj, aj, żebym ja miał jeden procent od tysięcznej części tej zasługi, co oni mają przed Panem Bogiem, to jabym bardzo, bardzo szczęśliwy był! Tam wielkie ludziska są pochowane, wielkie głowy! Tam nawet zdybuje się jeden kamień, na którym napisane jest nie dużo i nie mało, tylko jedno imię! A wiesz pan jakie imię? Ha! Ester! A wiesz pan, czyje to imię? To była żydówka, z prostego stanu nawet, biednego krawca córka, ale później to ona została żydowską królową...

— Żydowską? Źle jesteś poinformowany mój Berku, gdyż ona wcale królową nie była.

— Tak?! Pan może powie, że i ten król wcale nie był król i ta żydówka nie była żydówka, że on koło niej nie siedział, a ona koło niego też nie była. U państwa to wszystko jest na wywrót!

— Ale owszem, przyznaję, że była i że koło króla siedziała.

— Nu — a kto może koło króla siedzieć?! To kimedyja jest, dalibóg! — koło krawca siedzi krawcowa, a koło króla... królowa. Małe dziecko nawet zrozumie taki interes.

— Ona niedaleko Krakowa jest pochowana — to wiadomo.

— Niech będzie i tak! Ja na jej pogrzebie nie byłem. Dla mnie dość, że ludzie powiadają, że jest taki kamień i że na nim stoi napisane to imię Ester — i że ta Ester była żydowska królowa. Na co mnie wiedzieć więcej? Mnie to dość. Kto chce niech daje wiarę, kto nie chce, niech nie daje. Na to niema żadnego przymuszenia, żadnego gwałtu.

Widocznie Berek rozgniewał się. Jak można podawać w wątpliwość jego słowa? Przecież on nie jest prosty cham, on nie jest grubianin, ale uczony człowiek, który dużo czytał, a jeszcze więcej słyszał — i słyszał nietylko o zwyczajnych przygodach i wypadkach, ale i o cudownościach najrozmaitszych, o wydarzeniach takich, których głowa ludzka, choćby najtęższa, objąć ani wytłómaczyć nie może; słyszał jak wyglądają różni aniołowie i jakie zasadzki dyabeł urządził... tyle, tyle słyszał, a tu, znajduje się ktoś, co wierzyć mu nie chce. I kto? pfe, dalibóg!

Trzeba było jakoś udobruchać uczonego męża.

— Zapal-że Berku cygaro i dotrzyмай słowa.

— Cygaro? dla czego ja nie mam sobie zapalić cygaro? Ja zapalę — a co się tyczy słowa, to ja nie wiem, o jakim słowie pan mówi...

— Miałem coś usłyszeć o owej górze.

Machnął ręką, jakby przez to chciał dać do zrozumienia, że szkoda tracić słów na próżno.

— Co tu dużo gadać — rzekł — nie warto!... Pan nie wierzy, pan powiada, że wszystko nieprawda...

— Jesteś niesprawiedliwy — opowiadałeś o królu Dawidzie — czy przeczyłem? O trzydziestu sześciu sprawiedliwych — czy powiedziałem, że to fałsz?

— Ny — prawda.

— Są takie rzeczy, o których wszyscy wiedzą i są takie książki, w których jest napisane to, co było — i nikt nie może powiedzieć, że tak nie było. Przecież musiał Berek słyszeć, że w Lublinie nauczali kiedyś wielcy rabin.

— Ha! ha! i jacy rabin, same nabożniki, uczone!

— Myślisz Berku, że o nich nie ma w książkach?

— Ja wiem, wiem — w różnych żydowskich książkach to jest.

— Nietylko w żydowskich, jest i w polskich...

— To nie może być!

— Jest, jest — bo dla czego nie miałoby być? O wielkich uczonych zawsze się świat dowie i szanuje ich.

— To prawda! ma pan recht! Ja sam byłem świadkiem, jak raz do powiatu przyszedł rabin, nawet nie żaden wielki rabin, ale taki zwyczajny — to jemu postawili krzesło, żeby on sobie siadł! I urzędniki miarkowali, że dla duchownej osoby należy się krzesło...

— Czemuż się więc dziwisz, że o prawdziwie wielkich rabinach ludzie coś wiedzą. Słyszałeś coś pewnie o rabi Salomonie Loria? rabi Salomonie ben Jehuda.

— Aj waj! ktoby nie słyszał?

— Przecież to lubelski rabin, wielki uczoney. Umarł tu w Lublinie, temu z górą lat trzysta. Założyłby się można, że na starym kirkucie jego prochy leżą. A rabi Joel?

— Joel!... oj, oj, ja wiem, ja o nich wszystkich słuchałem — dla czego ja nie miałem słyszeć?

— Rabi Joel Sirkes, ben Salmon.

— Sirkes! Kto nie słuchał o Sirkes?! Wielka głowa! wielki nabożnik! — on też leży na starym Kirkucie.

— Nie, on leży w Krakowie.

— Może w Krakowie — nie będę się sprzeczał, ale mnie się zdaje, że nie. Jakby lubelskie żydy mogli od siebie puścić taką osobę?

— A jednak puścili, jest już temu więcej niż dwieście lat — on pojechał do Krakowa; tam był rabinem i tam umarł, a pochowali go obok sławnego rabina Mosze Iserles. Słyszałeś Berku, koło tego sławnego rabina, którego nazywają Ra-mo!

— Ramo! kto nie wie o Ramo! Wiary trudno dać, żeby takie rzeczy mogły stać w nieżydowskich książkach! Ny — ny... ale ja myślę, że to musi być inny gatunek książek.

— Tak, tak! a rabi Jehuda Wiga, rabi Meier...

— Teraz to ja panu powiem!... ja panu wszystko powiem, a dlaczego powiem? Czy pan zna takich mechaników, co robią nie-żydowskie książki?

— Znam.

— Ale nie te zwyczajne książki... tylko takie, wiesz pan... ten najlepszy gatunek, co w nich o samych rabinach stoi?

— Znam.

— To dobrze... bo to, co ja panu powiem, powinno być pisane w takich książkach. Ja panu powiem wszystko jak było — jak cała prawda jest... niech oni to napiszą! Słuchajno pan dobrodziej... Co się stało na starym kirkucie, a co ja panu chcę powiedzieć, to był wielki interes! to była taka rzecz, takie zdarzenie... no! — obaczysz pan. Przekonasz się pan co znaczy rabin, jaka w nim jest moc, jaka siła jest!

— O którym-że rabinie Berek chce mówić.

— O którym? Ja nie wiem, jak on się nazywał i nawet powiem prawdę, nie potrzebuję to wiedzieć. On był rabin — dość na tem, a czy on był mały rabin, czy wielki rabin, to

pan zaraz zobaczy! U nas powiadają o tem i dużo powiadają — a co u nas powiadają, to najprawdziwsza prawda jest. Pan widziałeś tę górę?

— Widziałem.

— I kościół także pan widziałeś?

— Naturalnie.

— Kościół stoi całkiem w dole. Pan mówiłeś do mnie, że to się panu pokazuje dziwne, a to wcale nie dziwne. Dawniej na tem miejscu nie było ani góry, ani dołu.

— Cóż więc było?

— Zwyczajny mały pagórek, taki jak te, których pan widzi tyle dokoła Lublina. Ten pagórek cały, może prawie cały, zawsze należał do żydów. Tylko nieduży kawałek placu był w innych rękach. Żydzi na pagórku zrobili sobie kirkut — a ten katolik, do którego drugi kawałek placu...

— Ksiądz Zuziewicz.

— Ksiądz Zuziewicz! Niech mu będzie Zuziewicz — dość, że postawił kościół. Na jednym pagórku był kirkut i kościół. Co to szkodzi? Pan zapewne słyszał o tem, że Pan Bóg stworzył siedmdziesiąt narodów i siedmdziesiąt wiar, i wszystkie te narody i wszystkie wiary od Pana Boga są. Każdy powinien swoją szanować. Ja panu nawet powiem jeszcze coś. Naprzykład, jak mi się przytrafi w drodze być, ja często w drodze bywam, czasem wieczór, czasem w nocy... trafi się przysiąść na wózek z chłopem!...

— Ale Berek miał mówić o górze.

— Czekaj pan — ja próżno nie gadam, moje każde słowo właśnie idzie do góry, ono ma taki chód. Więc jak ja siadam na furę do chłopca, to ja się trochę boję. Boję się, bo teraz różny naród jest i trudno po chłopie zmiarkować, czy on człowiek spokojny, czy galgan. Więc ja uważam sobie na niego. Po drodze figury stoją, jeżeli chłop zdejmuje przed figurą czapkę — to ja się nie boję, ja z nim jadę. Jeżeli on nie zdejmuje — to ja boję się i uciekam, bo myślę, że taki chłop nie jest dobry człowiek, myślę poprostu, że to galgan — a może i zbójca! Teraz miarkuje pan, do czego idzie moja mowa?

— Niebardzo.

— Ha! przecież idzie do góry! Dla czego nie miał kirkut być koło kościoła, albo kościół koło kirkuta? Były oba na tym wzgórkach; żydzi chowali swoich nieboszczyków, chodzili płakać na groby, chodzili modlić się, jak się godzi, jak trzeba podług starego zakonu. Po naszymu należy się modlić za umarłych, a zasługi, które umarli mają przed Panem Bogiem, dużo znaczą dla tych żydów, co żyją na świecie. Żywe i umarłe żydy mają między sobą kompanie, i jedni drugim są pomocni. Więc ja powiadam, że było wszystko dobrze, git, całkiem git; żydy sobie, katoliki sobie, jedni drugim wcale nie przeszkadzali. Czasem tylko robiły się kwestye.

— Jakie kwestye?

— Może nie tak kwestye — jak poprostu nieprzyjemność. Widzisz pan, w każdym kościele są dzwony. Rano dzwonią, wieczór dzwonią, a jak święto jest, to nawet bardzo dzwonią... więc jak w kościele dzwoni, a na kirkucie akurat wtedy żyda chowali — to była nieprzyjemność dla żydów, nawet powiem prawdę — było całe zmartwienie...

— Dla czego?

— Byłoby o tem dużo gadać... i nie wiem nawet czyby pan to dobrze zrozumiał. Różnie jest. Pan myślisz, że umarły nie ma cierpienia? Umarły ma cierpienie. Jego dusza także ma cierpienie. Ona się boi — na co ją jeszcze straszyć? na co jej dzwonić? Powiadam panu, że było zmartwienia dość. Nabożni i uczeni żydzi powiadali, że będzie z tego nieszczęście — ale nie było. Nie dziwuję się, że nie było, dopóki chowali prostych żydów, zwyczajnych krawców, szewców, handlarzy — ale raz zdarzyło się, że umarł jeden wielki, bardzo wielki rabin!

— Nie wie Berek jak on się nazywał?

— Nie wiem, na moje sumienie — dość że rabin, wielki rabin! Jak umarł, to żydzi musieli jego zaraz pochować, bo jak pan wiesz, u nas nie godzi się umarłego trzymać — trzeba go prędko włożyć do ziemi. Akuratnie ten wypadek zdarzył się przed południem w niedzielę! Miarkuje pan sobie, co to znaczy? ha!

— O tej porze odbywa się u nas nabożeństwo i w każdym kościele dzwonią.

— W tem właśnie było całe nieszczęście! Jak tylko wnieśli rabina na kirkut, w kościele zaczęli dzwonić. Rozumie pan! Wszyscy żydzi przelękli się — oni drżeli, oni sobie trzęśli

ze strachu, bo miarkowali, że tu się coś zrobi. A wiesz pan, że co się tylko na świecie zrobi, to zawsze dla żydów będzie źle! Oni się bali! Rozumie pan dla czego się bali? Prosty interes. Rabin jest rabin. Jeżeli dzwony zrobią jemu przeszkodę, to dzwony mogą się popsuć, mogą się oberwać, mogą się zrobić niezdatne do dzwonienia! A jak się dzwony zrobią niezdatne, to ludzie powiedzą; że żydy czarowniki są — no i wiesz pan, zaraz będzie krzyk, gwałt i gzojres.

— Cóż to jest gzojres?

— Nie wiesz pan? Gzojres to jest takie prawo na żydów, żeby nie handlowali wódką, żeby trzymali umarłego przez trzy dni w izbie. Gzojres to jest całe paskustwo, całe pfe! Żydy to miarkowali, bali się i sami niewiedzieli co robić, czy stać, czy iść, czy czekać... ale przyszła taka siła, co jej nie widać i popchnęła żydów, żeby oni szli — i oni szli. A tymczasem dzwony dzwoniły coraz lepiej, tak dzwoniły, jak zawsze dzwonią przy niedzieli. Wszyscy spodziewali się, że coś będzie. Nie mogli zmiarkować co, ale wiedzieli, że coś się zrobi.

— No?

— I zrobiło się! Aj! co się zrobiło! słuchaj pan! Z wielkiego strachu żydzi nie szli, ale lecieli jak ptaki... Tymczasem naraz zrobiło się cicho... całkiem cicho. Kto to zrobił niewiedzieli, dość, że nawet małe ptaszki, co na drzewach siedzą, ucichły — a dzwony dzwoniły. Rabin podniósł się na marach, siadł i powiedział: stać! stać! Słyszałeś pan! wszyscy ludzie stanęli jak martwi, jakby ich kto w ziemię zakopał! Myślisz pan, że to bagatela, jak umarły przemówi! Wszyscy stali. Rabin popatrzył, popatrzył i nareszcie pokazał palcem na jednego chłopaczka... na takiego małego, małego bachurka, co miał pięć, może sześć lat — i powiedział do niego — chodź-no tutaj! Chłopak przyszedł; dla czego nie miał przyjść? Stary się boi, a to taki dzieciak, on się nic nie boi, bo nic nie zna. On przyszedł, stanął przy marach i czekał, co jemu rabin powie...

— I cóż powiedział?

— Bardzo niewiele. Powiedział: mój kochaneczku, pójdz ty do mego domu, do mojej stancyi, tam jest szafa. W szafie książki są. Uważaj tylko dobrze, przystaw sobie stołek, żebyś dostał do najwyższej półki. Jak zobaczysz tam książki, to masz je rachować od prawej strony do lewej, tak jak się czyta. Rachuj, raz, dwa, trzy, cztery, pięć i sześć — jak narachujesz sześć, to weź siódmą książkę i tu przynieść. Pamiętaj tylko nie omył się, pamiętaj dobrze — idź. Ten bachur nie poszedł, ale poleciał, poleciał jak wiatr. A żydzi stali w wielkim strachu i słowa nikt nie mógł przemówić. Dzwony trochę ucichły, ale nie na długo, zaraz zaczęły dzwonić jeszcze z większym gwałtem. Oj! pan rozumie jak musiało żydom serce pikać... kiedy tak stali, jakby obróceni w kamień, bez ducha... Tymczasem dzieciak niedługo bawił — i przyniósł książkę. Rabin wziął ją do ręki, otworzył w samym środku i zaczął czytać. Wtenczas, wtenczas, panie, zrobiło się takie zdarzenie, co trudno sobie pomiarkować, trudno nawet pomyśleć...

— Cóż się stało?

— Cały pagórek zaczął się ruchać!...

— Niepodobna!

— Źle powiadam cały! pół pagórka, źle powiadam pół! ten kawałek placu, na którym kościół był. Pomaleńku, pomaleńku, jak rabin czytał, ten plac z kościołem, z dzwonami, z ludźmi, opuszczał się coraz niżej, niżej, niżej... powoli, ale ciągle niżej — a żydzi stali na kirkucie i bali się ruszyć, bo wszystkich taki strach ogarnął, jakby już koniec świata przyszedł; jakby cała ziemia miała się, broń Boże, zapaść, zginąć, polecieć w głąbie, w przepaść, jakby już ze światem miał być koniec...

— A dalej? cóż dalej się stało?

— Co się miało stać? Zrobił się krzyk, gwałt, lament! Ktoby nie robił lamentu, kto chce włączyć w ziemię, jak na ziemi ma żonę, dzieci, interesa! Oni wszyscy tak myśleli, no i wie pan co się stało?

— Co?

— Ny — najpierwsze panowie, szlachta, dziedzice, same hrabie, księża, poszli co najprędzej na kirkut do rabina i powiedzieli tak i tak: Niech pan rabin nie zrobi komu taką przykrość, niech pan rabin sobie uspokoi! Za co ma być między nami sprzeczka? Jak wiadomo panu, w takim interesie to już się nie można kłócić... trzeba prosić.

— I cóż rabin, dał się przebłagać?

— Ha? Rabin? Rabin nie potrzebował dać się przebłagać, bo on naprzód, jeszcze nim go mieli chować, nim umarł — to wiedział, co będzie. On jeszcze za życia wiedział — on wszystko wiedział! A przez to, że wiedział, to nie trzeba go było długo prosić. Czy mało zrobił? on uważał, że dość! Jak go zaczęli prosić, nie powiedział ani słowa, tylko przestał czytać, a skoro tylko przestał — ziemia też przestała się ruszać — i plac z kościołem, z ludźmi, z całym zabudowaniem, pozostał w tym miejscu, jak dzisiaj stoi. No, widział pan przecie.

— A rabin?

— Rabin zawołał tego samego bachurka, co książkę przyniósł. Kazał mu, żeby ją odniósł napowrót i postawił w tem samym miejscu, gdzie stała — a potem... potem rabin położył się napowrót na mary i znów nieżywy był. Ta sama moc, co zatrzymała żydów w miejscu, pchnęła ich znowu naprzód, żeby szli i oni szli; pochowali rabina z wielkim żalem, płaczem, lamentem... I później poszli każdy do swojego domu i opowiadali dzieciom co było, a te dzieci znów, jak urosły, opowiadały swoim dzieciom, i tak to szło, szło i będzie szło, albo ja wiem dokąd będzie szło? zapewne póki się świat nie skończy.

Berek westchnął.

— Był panie czas, dalibóg ładny czas był, ludzie widzieli wielkie interesa — dziś, powiedz pan, co dziś kto widzi? To co ja panu powiadam, to prawda jest. Jeżeli książki pokazują inaczej — to pokazują nieprawdę. Powiadasz pan historia! powiadasz pan dokument! wielka mecyja dokument? a gdzie te świadki, co byli przy podpisywaniu?

— A gdzie ci, co widzieli cud na kirkucie?

— Ich nie ma, ale oni byli, na moje sumienie byli — tylko że już pomarli. Przecież człowiek nie może żyć pół tysiąca lat.

— Więc przed pięciuset laty to się stało?

— Aj, co pan tak się pyta o lata! Żyd tak nie rachuje pieniędzy, jak pan chce te lata rachować. Co z tego? Po co rachować to, co było, to się już nie wróci — było, dawno było i dość na tem — a pan pyta kiedy? którego roku? którego dnia? jak się rabin nazywał? Tak czy siak, to wszystko jedno jest. Z jednego pagórka zrobiła się góra i dół. Aj panie, dziwne rzeczy bywają na świecie. Strach mówić. Pan myślisz na przykład, że pole to jest pole, a las to las...

— A cóż ma być?

— To jest las i pole, człowiek widzi tylko las i pole, ale i w polu i w lesie pełno jest takich, co niech zginą, co ja ich imienia nie chcę powiedzieć! Oni tylko patrzą, żeby człowieka zgubić.

Zamyślił się Berek.

Była już noc, gwiazdzista, pogodna, piękna. Z ponad rzeki dolatywał turkot młyna, z wioski dochodziło szczekanie psów. Zastanawiałem się nad genezą legendy opowiadanej mi przez Berka.

— Panie, proszę pana — odezwał się.

— Co takiego?

— Niech pan powie, co pan myśli o tym interesie?

— O jakim?

— O tym, co ja go panu opowiedziałem.

— Śliczna bajka.

— Bajka! to jest bajka! Ha... ładna bajka! Nie, panie, prawda to nie jest bajka — ale nie każdy chce prawdzie wierzyć...

— Trudno, widzisz.

— Trudno? dlaczego trudno? — bo powiedział Berek, a jakby powiedziała książka, toby każdy wierzył — bo to książka. Berek nie ma wiary — a dlaczego Berek nie ma wiary? — bo jest Berek! Taki nasz los. My jesteśmy od całego świata pokrzywdzeni.

— W czym?

— We wszystkim. Naprzód w majątku.

— Jakim sposobem?

— Niby pan nie wie!

— Nie wiem...

— Powiedz pan, przecież u państwa czytają biblię.

— Czytają.

— To pan wie, że stary Icchok miał dwóch synów, jeden się nazywał Jankiel (Jakób) — a drugi Ejsaw. Jankiel starszy był, jemu się należało dwie części majątku, a tamtemu tylko jedna. Od Jankla pochodzą żydy, bo on jest Isroel, od tamtego wszystkie inne ludzisko — a majątek był ładny... piękny majątek był.

— Jaki?

— Cały świat! Weź pan teraz na delikatny rozum i miarkuj jaka nam krzywda jest i nawet nie dadzą się upomnieć — powiadają, że my łapserdaki jesteśmy. Sy git? to ładne procedura jest!.. to pfe jest!..

Tak gwarząc dojechaliśmy do miejsca, w którym się drogi rozchodzą. Berek zeskoczył z wózka i poszedł w swoją stronę ku rodzinnemu miasteczku, ja pojechałem dalej.

Legenda opowiedziana przez Berka stała mi ciągle na myśli. Skąd się wzięła? Kto ją wytworzył? Oczywiście, jak wszystkie legendy, powstała w bujnej fantazyi, a przechodząc w ustnem podaniu z ojca na syna, z pokolenia w pokolenie, rosła i nabierała nowych kształtów.

Skąd się wzięła, gdzie jej początek, kto pierwszy ją ułożył i kto kazał jej iść przez pokolenia?

Tego dojść trudno.

Wśród wiejskiego ludu fantastyczne baśnie i podania wykwitają przeważnie na tle zjawisk natury, albo też na rumowiskach siedzib dawnych, na gruzach zamczysk, których dzieje, upiękzone przez fantazyę, zmienione przez lata, a w jakiejś cząsteczce przechowane w pieśniach, przeżyły wieki.

Złamane drzewo, głaz dziwacznej formy, przebiegający meteor, noc burzliwa, błędne ogniki na moczarach, stara baszta, zapomniany kurhan — oto mniej więcej źródła, z których bogata fantazyja ludu czerpie dla siebie motywy.

Legendy ludowe są mniej więcej znane, skrzętni zbieracze notują ich treść i utrwalają ją w drukowanym słowie.

Ta sfera ludności, z której Berek pochodzi, także ma swoje podania i legendy — ma ich moc niezliczoną, lecz i fantazyja jej i charakter jest inny. Przeważa w nich pierwiastek nadprzyrodzony i mistyczny.

Zbieracz takich właśnie legend ma zadanie bardzo trudne, jeżeli nie z książek, lecz z żywego słowa czerpać je pragnie.

Nieufność, niechęć, a wreszcie i mowa do zrozumienia niełatwa, stają wciąż na przeszkodzie.

Duchowa ojczyzna takich właśnie Berków, niezmiernie interesująca i ciekawa, przed obcym obserwatorem ma szczególnie zamknięte granice.

Jeżeli się uda coś z tego wynieść, to tylko zręcznym manewrem, przez kontrabandę, ukradkiem.

A świat to istotnie ciekawy, pełen osobliwości nieznanymi nam zupełnie. Mieszkańcy jego, obojętni na piękności przyrody, nie znają szerokich przestrzeni, ani gór malowniczych, szmerów wód, ani tajemniczych szeptów lasu. Urodzeni w brudnych domostwach, tam przepędzają dzieciństwo, częstokroć nie wychodząc poza obręb miejsciny. Brudna izba, brudna szkoła, brudna bóżniczka, oto cały ich świat, w tym świecie ściśle zamkniętym, odgrodzonym, żyją i myślą. Niektórym zabiera trochę czasu liche rzemiosło — inni i tak, niewiadomo z czego, żyją, w rozmyślaniach, w marzeniach...

Do tego ciasnego świata na skrzydłach fantazyi zbiegają się duchy różne, tysiące aniołów i szatanów... Mieszkańcy jego opowiadają sobie legendy i podania, biegną myślą w przeszłość świetną, której nie znają dokładnie, powtarzają jedni drugim najdziwniejsze pojęcia o świecie, o krajach fantastycznych, rzekach osobliwych, o górach z czarnej mgły...

Lubią się z uczonością popisywać, szczycą się nią, choć gdzież im do uczoności poważnej, wymagającej całych lat pracy ciężkiej i studyów!

Trochę wiadomości z biblii, trochę z historii narodu — moc nieprzebrana formulek obrzędowych i nieprzebrana kopalnia legend i bajek, oto cały arsenał wielkich uczonych w rodzaju Berka.

A przecież ta „uczoność”, to jego cały świat!

W nim przestaje najchętniej, w nim się zamyka, w nim zapomina o powszednich troskach życia — i tam jest niedostępny, niewidziany przez nikogo, prócz przez swoich.

Legendę o kościele po-franciszkańskim i starym kirkucie lubelskim usłyszałem wypadkiem i powtórzyłem tu, tak jak była opowiedziana, bez dodatków, bez zmian, lub autorskich upiększeń.

Berek zwierzył się później przedemną, że zna jeszcze dużo, bardzo dużo takich wielkich historii, takich wielkich wydarzeń, ale nie każdą historię można opowiadać...

Berek niedarmo jest człowiek uczony — on dużo zna, bardzo dużo zna!

Ludzie prości, grubi ludzie, nie wierzyliby jego opowiadaniom, woli też te cenne skarby przechować dla umysłów wyższych i głów delikatnych, rozumiejących to, że największym skarbem na świecie jest wielka uczoneść — a największą uczoneścią to, czego nikt nie może zrozumieć...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/cud-na-kirkucie/>

Tekst opracowany na podstawie: Z jednego strumienia, szesnaście nowel przez dziesięciu autorów z przedmową Elizy Orzeszkowej, Skład Główny w Księgarni E. Wende i Spółka, Warszawa 1905

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Marta Niedziałkowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

ISBN 978-83-288-0323-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).